

Diaczenko Irina & Siergiej

Wirlena

Z „*Science Fiction*” nr 14 – kwiecień 2002

...Ognisko nieco przygasło, a wraz z nim ucichły zwyczajowe myśliwskie przechwałki. Cała trójka siedziała teraz w milczeniu i wpatrywała się w dogasający, płomień, a nad nimi noc rozpostarła ciemne skrzydła, zapanowała na wiele wiorst dokoła, ciepła, aksamitna, przesiąknięta westchnieniami i szmerami, pokłuta igiełkami gwiazd.

- Czas spać chyba - powiedział w końcu pierwszy, siwowąsy, ale mocny ciągle i sękaty, powszechnie szanowany myśliwy.

Drugi, młodzieniec jeszcze, nieco urażony poruszył brwiami:

- I nic nie opowiesz? Dziś nie będzie Opowieści? Trzeci, trzymający w zębach dymiącą masywną fajkę, nie wiadomo dlaczego uśmiechnął się.

Ten z siwymi wąsami prychnął - oczywiście, jego opowieść czekała na swój czas, ale będąc uznanym gawędziarzem, czekał na prośby i namowy.

- Opowiedz! - Młodzian wiercił się niecierpliwie, spojrzeniem błagając o poparcie właściciela fajki, ale ten milczał, ciągle się uśmiechając.

- Późno - powiedział niepewnie posiadacz siwych wąsów, i młodzieniec już gotów był się obrazić, kiedy milczący dotąd myśliwy wyjął z ust cybuch i wypuściwszy kłąb dymu, poprosił również:

- Opowiedz.

Przez minutę panowała przy ognisku cisza, tylko w oddali pokrzykiwał nocny ptak.

- Cóż - powiedział siwowąsy wzdychając, - cóż... Opowiem.

I cała trójka zaczęła sadowić się wygodniej. Myśliwy z siwym wąsem wytrzymał pauzę i zaczął umyślnie uroczyście:

- Pamiętacie aby tę osikę, co rosła na południu, przy okólnej drodze?

- Tę trzygłową? - radośnie zawołał młodzian. - Przecież ją ścięli w zeszłym roku...

Siwowąsy pokiwał głową:

- Stara już była, sucha... Sto lat stała, aż uschła. W upał dawała cień, ale jakoś nikt się w nim nie chłodził - wszyscy omijali ją bokiem, nazywali zaklętą... A dlaczego?

- Dlaczego? - niczym echo odezwał się młodzieniec.

Siwowąsy westchnął i zaczął snuć swą Opowieść...

...Wydarzyło się to dawno temu.

Ona miała siedemnaście lat, zwali ją Wirlena, i żadna dziewczyna w okolicy nie równała się z nią urodą. Piersi Wirleny przypominały fale na rzece, warkocze Wirleny połyskiwały niczym złoto i pokornie opadały aż do jej stóp, małych i różowych, delikatnych, mimo że przez całe lato piękność ta biegła boso; oczy Wirleny, nieco skośne, zielone, mogły doprowadzić do szaleństwa jednym nieśmiałym spojrzeniem. Nawet spróchniali starcy, nawet smarkacze wykręcali szyje, widząc ją na ulicy, a co dopiero mówić o młodzieńcach i dojrzałych mężczyzn! I, rzecz jasna, o próg jej domu stałe obijały się swaty, wysyłane przez szacowne i bogate rodziny - obijały się, ale i wracały z niczym, ponieważ Wirlena dawno już temu wybrała swoją parę.

W sąsiedztwie żył w dużej rodzinie Kirjaszik - jasnooki, uśmiechnięty, okrągłolicy przyjaciel jej dzieciństwa. Był młodszy od Wirleny niemal o rok, ale od niemowlęctwa wychowywali się i rośli razem. Beztroskie dzieciństwo zmieniło się w czułą miłość, i Kirjaszik, sam nie wiedząc jakim sposobem, bez walki, otrzymał prawo do skarbu, o którym marzyło tylu godnych mężczyzn. Rodzice zakochanych dawno już temu dogadali się co do ślubu swoich dzieci.

I oto oboje szczęśliwi, z drzeniem czekali dnia ślubu, kiedy wydarzyło się nieszczęście.

Nadszedł czas poboru rekrutów; choć rodzice Kirjaszika robili co mogli - przyszło mu iść w żołdacy na dwadzieścia lat. Można uważać, że na zawsze.

Słoneczny rumieniec zniknął z lic Wirleny, które stały się blade jak kreda.

Wczesnym rankiem główną ulicą wsi, niczym wąż, ciągnęła kolumna poborowych. Wirlena widziała, jak pojawiała się i zniknęła w tłumie głowa Kirjaszika, młodzieńcza bezbronna głowa w czapie pszenicznych, jak i jej, włosów. Widziała, jak jego zmieszane oczy szukają pośród krzyków i szlochów swojej narzeczonej - i gasną, nie odnalazłszy jej w tłumie.

Kolumna wyszła z osady - straszni, wąsaci ludzie w nedorzecznych mundurach wykrzykiwali rozkazy, a serce Wirleny zamierało od tych krzyków jak od uderzeń. Wkrótce straciła Kirjaszika z oczu, rząd rekrutów ciągnął się i ciągnął, i rzednął tłum żegnających ich matek i narzeczonych. Na koniec Wirlena została sama; szła za kolumną i szła, jak uwiązana, choć bose jej stopy dawno pokaleczyły się do krwi; straszny oficer w końcu nakrzyczał na nią, więc, skamieniała od tego wrzasku, stanęła nieruchoma, a kolumna, oddalając się, stała się w końcu plamką na długiej, straszliwie drugiej drodze, i oto tam, dokąd maszerował Kirjaszik, widoczny już był tylko obłoczek kurzu...

Dopiero o zmierzchu Wirlena wróciła do wsi, a dziewczęca poduszka wchłonęła tej nocy cały jej smutek i rozpacz.

Rano, kiedy jeszcze wszyscy spali, Wirlena wymknęła się z domu i po ledwo widocznej ścieżynce udała się do czarodzieja, co to mieszkał za jeziorem.

Szła z zaciśniętymi zębami, bezlitośnie tarposząc nawinięty na dłoń wspaniały warkocz, a jej lęk przed czarownikiem znikł, pokonany przez marzenie.

Czarodziej był w domu; siedząc przy piecu, wypychał nietoperza. Wyglądało, że jest zdziwiony - nie tak często dziewczęta z wioski składały mu wizyty. We wsi obawiano się tego ponurego, pomarszczonego, choć jeszcze niestarego człowieka; opowiadano, że potrafi w ciągu jednej nocy zesłać śmierć na całą rodzinę, sprowadzić grad albo suszę, sprawić, że jeszcze niedawno zdrowy i silny mężczyzna w ciągu kilku dni zmieni się w wyschniętego, biednego, na poły szalonego pijaka... I oto do tego człowieka przyszła Wirlena.

- Witaj! - zaskrzeczał czarodziej i uśmiechnął się. Lepiej by było, gdyby tego nie zrobił - ciemne jego oblicze z haczykowatym nosem wykrzywione śmiechem wyglądało jeszcze straszniej.

Ale ogarnięta rozpaczą Wirlena nie przestraszyła się.

Po coś do mnie przyszła? - zapytał czarodziej, naśmiewszy się do woli. - Nie jesteś mi potrzebna, znakiem tego - ja jestem potrzebny tobie?

- Przyszłam do was z prośbą - powiedziała Wirlena, zapanowawszy nad głosem. - Mojego narzeczonego, Kirjaszę, wzięli wczoraj w rekruty. Kocham mamę i ojca, ale Kirjaszika kocham jeszcze mocniej. Słonecznik wszak zgnije bez słońca? A ja nie będę żyła bez Kirjaszika. Czy nie można cofnąć czasu? Oddam wszystko, co mam: pieniądze, kufer z wianem i grzebień kamieniami szlachetnymi wysadzany, ale proszę - uczynicie tak, by wrócił! Czy to leży w waszej mocy?

Czarodziej znowu się uśmiechnął:

- Zapytałaś, czy to w mojej mocy?! Głupia... Mogę naprawdę sprawić, że tak się stanie, ale po co mi twój kufer z wianem? I grzebień z kamieniami?

- Oddam wszystko, co tylko zechcecie! - zakrzyknęła Wirlena, jej zielone oczy błysnęły, a na policzki powrócił rumieniec.

- Naprawdę? - roześmiał się czarodziej. - Rzeczywiście aż tak go kochasz?

Wirlena pokiwała głową, a jej warkocze opadły na pierś.

- Cóż - powiedział wtedy czarodziej - zgadzam się... Sprawię, że twój narzeczoney wróci, ty zaś przyjdiesz do mnie dziś o zachodzie słońca i odejdziesz stąd o świcie!

Niczym wosk pobladło oblicze Wirleny, zachwiała się. Czarodziej potrząsnął czarnymi kudłami:

- Czy nie zaklinałaś się przed chwilą, że oddasz wszystko?

- Nie - powiedziała Wirlena niemal niesłyszalnie - takiej ceny zapłacić nie mogę.

- Cóż - powiedział rozczarowany czarodziej - w takim razie zobaczysz go za dwadzieścia lat!

I wrócił do swojego poprzedniego zajęcia.

Stąpając niemal na palcach Wirlena zawróciła do domu, a wszędzie, gdzie padało jej roztargnione spojrzenie, widziała wesołe oblicze Kirjaszika. Tak dotarła do okólnej drogi; stało przy niej dziwne drzewo - osika z potrójnym pniem, z trzema mocnymi rozpostartymi konarami - ludzie nazywali ją potrójną osiką. Dzień już się obudził, radośnie świeciło słońce i wywodziły trele ptaki w rozgałęzionej koronie. Tu, w biały dzień, Wirlena powiesiła się na własnych warkoczach...

Opowieść skończyła się, ale cała trójka długo jeszcze siedziała w ciszy, zakłócanej tylko odgłosami leśnej nocy.

- Od tej chwili drzewo uważano za przeklęte - powiedział w końcu właściciel siwych wąsów.
- Jaka szkoda. - W oczach młodzieńca odbijały się płąsy płomieni ogniska. - Jaka smutna Opowieść... Ale - pozwólcie - opowiem wam inną! Wiele razy powtarzał mi ją mój dziadek... Niech się wam nie wydaje, że te bajdy są do siebie podobne - w rzeczywistości to jest zupełnie inna Opowieść.
Pałacy fajkę uśmiechnął się jeszcze bardziej tajemniczo niż wcześniej.
Zapewniwszy sobie milczącą zgodę słuchaczy, młodzieniec zaczął opowiadać. Jego głos zdradzał zdenerwowanie, łamał się i drżał...

...Dziewczyna miała siedemnaście lat, a zwali ją Wirlena. Nikt w okolicy nie mógł się z nią równać co do urody, skromności i obyczajności; jednocześnie powszechny szacunek i miłość nie zepsuły jej charakteru. Nigdy nie szydziła z pechowych kawalerów, jak to czynią kokietki, a wszak wszyscy konkurenci do jej ręki byli pechowi - kochała ona tylko Kirjaszika, sąsiada i przyjaciela dzieciństwa.

Była to wspañiała para - aż miło patrzeć, jak narzeczoney z ukochaną idą przez wieś - nie dotykając się nawet wzajemnie, nie pozwalając na to przyzwoitość i obyczaje - ale jakby związani jedną nitką. Wirlena ubrana w białą haftowaną bluzkę, spódnicę z odświętnym fartuszkim i czerwony jedwabny pasek z frędzelkami. Kirjaszik, ukochany syn swojej matki, troskliwie poprawia delikatną chustę na jej ramionach. Oboje rumiani i złotowłosi, oboje weseli i zupełnie niewinni, a o ślubie już dawno się dogadali...

Gruchnęło nieszczęście - pobór rekruta do wojska; oto Wirlena stoi na środku drogi, stopy poranione do krwi, i tylko obłok kurzu na horyzoncie oznacza miejsce, gdzie zniknął z oczu Kirjaszik...

Przez noc całą nie zmrużyła oka, ale nie płakała - łez już nie miała. A o świcie poszła za jezioro, gdzie na skraju lasu w nieprzytulnym domku mieszkał czarodziej.

Straszny był to człek, i niedobrze o nim ludzie mówili. Żli, pozbawieni sumienia, czasem zwracali się doń o pomoc, by zniszczyć kogoś, zgładzić, zesłać chorobę - to potrafił, dlatego matki, puszczając dzieci na grzyby, najsurowiej pod słońcem, pod karą różeg, zabraniały nawet zbliżać się do jego domu... Mówiło się, że i leczyć potrafi, ale wcale przez to strach przed nim nie był mniejszy.

Do tego właśnie człowieka przyszła Wirlena. W domu czarodzieja pachniały zioła; sam gospodarz siedział przy palenisku, na którym, mimo upalnego lata, płonął obfity ogień. Na kolanach jego drzemała, zwinięta w kłębek, gruba żmija.

- Nieczęsto w mych progach stają tacy goście! - powiedział kpiącym tonem czarodziej. - Nie jesteś mi potrzebna, zatem ja jestem potrzebny tobie! Mów, z czym przyszłaś!

A kiedy dziewczyna opowiedziała o swoim nieszczęściu, pokiwał głową:

- Czyżbyś aż tak go kochała?

- Ach - powiedziała Wirlena - jestem gotowa oddać wszystko, żeby tylko Kirjaszik wrócił do domu!

- Wszystko? - roześmiał się czarodziej, a śmiejąc się tak, stał się jeszcze straszniejszy, i mróz przeniknął dziewczynę do szpiku kości.

- Spełnię twą prośbę - powiedział gospodarz - ale będziesz musiała mi zapłacić. Przyjdiesz dziś do mnie o zmierzchu, a odejdziesz o świcie!

Ziemia zakołysała się pod stopami Wirleny, czarna mgła przesłoniła cały świat.

- Nie - szepnęła drżąc - ta zapłata przekracza moje siły! Znowu roześmiał się czarodziej:

- Skoro tak - czekaj na swego ukochanego przez dwadzieścia lat!

Żmija, wystraszona jego śmiechem, ześliznęła się z kolan i wijąc się, zniknęła pod ławką.

A Wirlena, zataczając się po drodze, wracała do domu.

Ale nie odeszła nawet dziesięciu kroków od domu czarodzieja, kiedy w splotach gałęzi, w łanach kwiatów, w drobnych falach przebiegających powierzchnię jeziora, zwidział jej się Kirjaszik - wesoly, czuły, dobry jej przyjaciel, oderwany od domu rodzinnego, na długo pozbawiony szczęścia...

Wirlena obejrzała się; czarodziej stał na progu, opierając się o framugę drzwi - straszny, wstrętny, ze splątanymi kosmykami włosów, z ogromnym haczykowatym nosem, z płonącymi jak węgle oczami... Patrzył na nią, a jego spojrzenie przeszywało Wirlenę na wylot. Rozszlochała się:

- Ulituj się nade mną! Poproś o cokolwiek innego... , Ale odpowiedział jej czarodziej: - Nic innego nie możesz mi dać. Albo zapłać moją cenę, albo zapomnij o ukochanym!

- Powiedziała więc Wirlena, wczepiwszy się palcami w złote warkocze:

- Bądź przeklęty! Przyjdę.

Przez cały dzień dygotała jak w gorączce, przez cały dzień marzyła o tym, by matka, domyśliwszy się wszystkiego, zamknęła ją na noc. Ale matka miała swoje troski i swoje smutki. Wieczorem, o zmierzchu, Wirlena skłamała jej coś i ruszyła do domu za jeziorem.

Nogi nie chciały jej tam nieść - trzęsły się i uginały. Szepcząc imię Kirjaszika, przypominając sobie jego oblicze, widziała przed sobą tylko szkaradny uśmiech czarodzieja. Kilka razy zawracała, a potem, zaciskając zęby, powracała na trudną i męczącą drogę. Wspaniałe jej włosy poplątały się, delikatne wargi spierzchły, pokasane białymi zębami, w lęku drżały i falowały wspaniałe piersi... Ale oto i dom jej dręczyciela, i oto gospo darz stoi na ganku - czarny, pomarszczony, z obliczem drapieżnego ptaka:

- Przyszłaś jednakowoż? Będiesz miała swojego Kirjaszika...

Nie wiedząc czy żyje jeszcze, czy już umarła, Wirlena przestąpiła próg domu, drzwi same zamknęły się za nią, a czarodziej, uśmiechając się, wolno pociągnął za frędzelek jej czerwonego paska.

... O świcie wracała Wirlena do domu, i nie widziała przed sobą nawet drogi. „Kirjaszik - szeptał jej do ucha czyjś przymilny głos - Kirjaszik"... Ale imię to napawało ją bólem i męką - ponieważ nie wiedziała, jak spojrzeć w oczy swemu ukochanemu.

Oto i droga, oto i przy drodze trójgłowa osika. Wirlena sama nie wiedziała, po co zatrzymała się przy niej. Bezmyślnie patrzyła prosto przed siebie, a gdzieś na skraju jej świadomości kołowały się ciężkie gałęzie...

Potem podeszła do osiki i powiesiła się na własnych warkoczach...

Młodzieniec umilkł, znowu zapanowała cisza. Westchnął mężczyzna z siwymi wąsami i zaczął przygotowywać się do snu, młodzian chciał pójść jego śladem - kiedy nagle ten, który przez cały czas milczał, wyjął w końcu z ust wygasłą fajkę:

- Niedługo świt... Ale nie mogę i ja nie poczęstować was moją Opowieścią.

- Ty... opowiesz nam coś? - Młodzian zdziwił się ponad miarę. - Ja myślałem, że ty nigdy nie otwierasz ust bez wielkiej potrzeby!

- Myśliwy z siwymi wąsami też nie krył zdumienia:

- Czyżbyś potrafił snuć Opowieści?

Mężczyzna z fajką uśmiechnął się lekko, przygryzając ustnik:

- Może jesteście zmęczeni i nie chcecie mnie wysłuchać?

- Nie, nie! - zakrzyknął młodzieniec, zaintrygowany w widoczny sposób. - Opowiadaj!

- Opowiadaj - westchnął myśliwy z siwymi wąsami. I mężczyzna z fajką zaczął snuć swoją opowieść...

... W pewnej wsi mieszkała dziewczę o imieniu Wirlena. Niezwykle piękna to była dziewczyna. Miała narzeczonego, szesnastoletniego młodzieńca imieniem Kirjasz. Narzeczem czule się kochali, niewiele zostało do ich ożenku, a do tego czasu oboje żyli w niemal dziecinnej niewinności.

Ale do ślubu nie doszło - ogłoszono nabór w żołdacy, i Kirjasz, czwarty syn w niezbyt bogatej rodzinie, nijak nie mógł uniknąć poboru.

Obie rodziny strasznie się zasmuciły. Świat cały stracił urok dla Wirleny, w najjaśniejszym dniu nie zauważała nawet słońca. Oto poborowi odeszli, prowadzeni przez okrutnych oficerów z kańczugami u pasa, ucichł tupot ich butów i rżenie koni, kurz osiadł na drodze, a wieś wróciła do swoich spraw, do swojego życia - tylko Wirlena nie mogła się pogodzić ze stratą.

Wczesnym rankiem udała się na drugi brzeg jeziora, gdzie na skraju lasu żył potężny i straszny czarodziej.

Nikt nie znał jego imienia - ludzie bali się nawet wspominać o nim, żeby nie ściągnąć na siebie nieszczęścia. Służyły mu gacopski i drapieżne ptactwo, a mówiono jeszcze, że o północy doi on mleko z białego w ścianę noża, a mlekiem tym karmi ogromną, dwa razy dłuższą od najwyższego człowieka żmię... Nie lękał się umarłaków na cmentarzu, wlatywał w niebo na jednym sowim piórku, znał wszystkie uroki i zaklęcia, i wiele innych, och, jak wiele innych niedobrych czynów przypisywały mu ludzkie opowieści...

Do tego właśnie człeka przyszła Wirlena.

Dom stał na uboczu, droga doń zarosła pokrzywą, stopy Wirleny pokryły się pęcherzami, zanim dotarła do furtki. Czarodziej był w domu - na stole przed nim leżała księga i ludzki czerep.

Ciarki przeszły po skórze dziewczyny, ale nie ulękała się i dumnie odpowiedziała na pytanie, po co tu przyszła.

- Aaa - roześmiał się czarodziej - miłość... Cóż, skoro kochasz, czy jesteś gotowa zapłacić?

- Gotowam! - zawołała Wirlena, w duszy której obudziła się nadzieja.

Jeszcze głośniej roześmiał się czarodziej:

- Dobrze, dostaniesz swego Kirjaszika, może nawet jutro, ale o zmierzchu przybędziesz do mnie... a odejdiesz o świcie!

Lęk ogarnął Wirlenę. Chciała uciekać... ale nie mogła, bowiem przypomniawszy sobie Kirjaszika.

- Bądź przeklęty - wyszeptała przez łyż. - Przyjdę... I przyszła.

Długo trwała jej droga, i była męcząca. Ogarnięta strachem i wstydem już miała wracać, ale zobaczyła Kirjaszika, umierającego na polu bitwy, zacisnęła więc zęby i szła dalej.

Czarodziej już czekał na nią:

- Przyszłaś jednak? Dobrze, niech będzie, jak sama chciałaś...

I drzwi, ciężkie drzwi zamknęły się za nią - same, bez szmeru, bez dźwięku. W półmroku izby stali naprzeciwko siebie - zapłakana, drżąca dziewczyna i wstrętny, bezlitosny czarodziej.

Wirlena zgarbiła się, objęła ramionami, jakby chciała samą siebie ochronić; gorąca dłoń legła na jej ramieniu. Przez ciało dziewczyny przebiegł dreszcz, druga ręka opadła na drugie ramię. Wolnym, władcym gestem czarodziej pogłaskał jej drżące ramiona i ręce dziewczyny bezwładnie zwisły wzdłuż ciała.

- Będziesz miała Kirjaszika - powiedział cicho czarodziej, i Wirlena zamknęła oczy, by nie widzieć w półmroku nad sobą straszliwego oblicza czarodzieja. Zacisnęła powieki i poczuła nagle, że od jej dręczyciela dolatuje ostry, cierpki, ziołowy zapach.

- To nic - powiedział czarodziej dziwnym, głębokim, nie z tego świata głosem - wytrzymaj... - i twarde palce jego chwyciły za frędzelek jedwabnego paska.

Wirlena drżała coraz to mocniej, jej zęby szczykały.

- Rozpalę ogień - wyszeptał czarodziej, i w piecu natychmiast rozgorzał płomień - nie będzie ci zimno... Chodź ze mną...

Poprowadził ją w głąb swego domu, a cienki czerwony pasek, ześliznąwszy się z kibici dziewczyny, został na progu.

Wirlena chciała umrzeć, chciała oślepnąć i ogłuchnąć; obca dłoń dotknęła jej gorącej szyi, jakby badając ją, potem przemknęła niżej, po kołnierzu bluzki, zatrzymała się, opadła niżej, dotknęła piersi... Tysiące małych igiełek przeszło dziewczynę na wylot - z trudem powstrzymała się od krzyku.

- To nic - cicho, czule szeptał czarodziej. - Wytrzymaj... I ręka jego posunęła się niżej, dotykając kibici, głaszcząc brzuch, i dziewczyna zamarła, mając nadzieję, że tego najbardziej wstydliviego miejsca ręka nie dotknie - i w tej samej chwili twarde palce odnalazły je, odnalazły przez koszulę, spódnicę i fartuszek... .

- Proszę... -jęknęła Wirlena - nie trzeba!..

- Nie bój się - szepnął podniecony czarodziej. - Nie bój się...

Dwie jego gorące dłonie legły na biodrach dziewczyny; pogłaskały je, przemknęły za jej plecy, głaskały je chwilę... I znowu, i znowu czuła na sobie niespieszne, łagodne dotknięcia, póki nie zaczęło jej huczeć w skroniach, a nieznane, palące, niemal bolesne uczucie nie zrodziło się w jej wnętrzu - i nieco osłabiło drżenie.

Coś cicho pękło - od razu poczuła, jak osłabł nacisk paska spódnicy i fartuszka.

- Oj... - chwyciła umykający materiał, ale natychmiast poczuła na przegubach mocny uchwyt mężczyzny.

- Nie.

Spódnica i fartuch opadły na podłogę - Wirlena została w samej haftowanej koszuli do kostek.

Gorące dłonie czarodzieja znowu legły na jej biodrach, teraz czuła je tak wyraźnie, jakby nie cienkiej tkaniny, a jej własnej skóry dotykały. Palce, przed chwilą jeszcze twarde, teraz pieściły ją - pieściły tak czule, tak łagodnie, tak delikatnie, że przestała drzeć i w końcu wydała z siebie długie przeciągłe westchnienie.

- Dobrze - szepnął czarodziej do jej ucha, a szept ten delikatnie ją połaskotał - dobrze...

Ręce jego przemknęły po koszuli do góry, przejechały po plecach, po ciężkich warkoczach, po ramionach, po głowie.. Już nie były jej wstrętne te dotknięcia - dziwiła się sobie, nawet trochę się odprężyła, jakby to nie ona, a ktoś inny przeżywał te chwile. Troczki od koszuli poruszyły się i koszula wolno zaczęła pełznąć, nie trzymając się już na ramionach...

Wczepiła się w tkaninę z całej siły; znowu jej nadgarstki zostały uwięzione, i cichy, ale stanowczy głos polecił:

- Nie.

I tyle mocy, tyle władzy było w tym głosie, że Wirlena nie potrafiła mu się oprzeć, mimo że wstydziła się straszliwie, gdy koszula w końcu opadła na podłogę i dziewczyna stanęła w izbie zupełnie naga.

Gorące dłonie dotknęły jej ciała. Wirlena wydała z siebie okrzyk i skuliła się, oczekując czegoś nieuchronnego i straszego, ale nic straszego się nie wydarzyło. Płonął ogień w palenisku, pieszcząc ją falami przyjemnego ciepła, mocne i czułe męskie dłonie uspokajały, ostrożnie dodawały ducha, wędrując po biodrach i wzdłuż pleców, i po szczupłej szyi:

- Jesteś piękna... Wystraszone zwierzątko z atlasową skórą. Nie bój się mnie... Widzisz, to ja drzę przed tobą...

Wolno przyciągnął ją do siebie, a ona poczuła, jak w jego piersi, pod czarną chlamidą, szalone tłucze się serce:

- Nie ma równych ci... Królowa się z tobą nie równa... Nie bój się...

Ręce jego nieco mocniej przycisnęły jej piersi - jęknąwszy, Wirlena wygięła się łukiem, wstrząsana nieznanym dotąd, nie odczuwanym wcześniej drżeniem. Był w tym i strach, i wstyd, zmieszany z drżeniem nieznanego, niejasnego pożądania.

Sama nie wiedząc jakim sposobem, leżała już na ciepłym futrze; palce czarodzieja przemykały po jej ciele, jak palce dudziarza przemykają po otworach fletu. Miotła się, usiłowała osłonić rękami, potem nie wiadomo dlaczego rozpląkała się, potem przestała płakać.

- Teraz dobrze. - Czarodziej odsunął jej dłonie, broniące falujących piersi. - Dobrze...

I wargi jego najpierw dotknęły białego wzgórza, potem różowego jego szczytu. Wirlena, nie panując nad sobą, objęła go nagle za szyję - może chciała odepchnąć, może - odwrotnie - przyciągnąć bliżej...

- Dobrze - szeptał uspokajająco. - Tak właśnie dobrze... Czy ci źle jest? Czy się boisz?

I ręka jego znalazła się tam, gdzie Wirlena obawiała się jej najbardziej.

Gdzieś płonął ogień, a purpurowe jego błyski migotały na suficie, i wtedy nagle dziewczyna zrozumiała, że należy teraz do czarodzieja - że jest jego ostatecznie i bez ograniczeń, i że chciałaby zdjąć przed nim nie tylko odzienie, ale całą swą skórę...

Potem był ból i gorąco. Drżała znowu, i znowu popłakiwała. Czarodziej, ostrożnie głaszcząc ją po piersiach, uspokajał:

- Już po wszystkim, już koniec... Nie bój się. Nie trzeba się bać. Już koniec.

Dziewczyna długo potem leżała w całkowitych ciemnościach, wyzuta z sił, bezwolna, słaba... W kominie oddychał wiatr i cicho pojękiwał cały dom, i znowu w powietrzu czuć było cierpkie, gorzkie zioła - w ich aromacie rozpoznawała niemal niewyczuwalny oszałamiający zapach, i czuła ręka leżąca na jej głowie. Potem ktoś troskliwie przykrył ją futrem - takim samym, jakie miała pod sobą. Chciała o czymś pomyśleć, ale myśli puciekały, tylko dokoła ciepła pustka...

Rano, chwając się na nogach, wracała do domu.

Budziło się do życia słońce; podstawiając twarz pod jego promienie Wirlena zrozumiała nagle, że dziś zobaczy Kirjaszika, że się pobiorą, że każdy ich wspólny dzień będzie świętem, a każda noc... I jej ciało omdlewająco jęknęło, przeczuwając, jak słodko jest kochać ukochanego...

Tego dnia do wsi wrócił - uradowany, wystraszony, zadziwiony, ale cały i zdrow - Kirjaszik. Jakiś wyszedł nowy edykt, i czwarty syn w rodzinie, i to jeszcze niespełna siedemnastoletni, nie podlegał już poborowi. Rodzina szczęściarza niemal oszalała z radości, a matki innych chłopaków, wprowadzonych w rekruty wraz z Kirjaszikiem, zaczęły przystawać na drodze i wpatrywać się w dal - może i ich synom się poszczęści. Nadzieja ich dość szybko zmieniła się w rozpacz - nikt więcej nie wrócił do domu. Nikt.

I oto odbył się ślub - wspaniały i wesoły, i dla nikogo nie zabrakło upojnego wina, ale młodzi byli pijani i bez niego - ze szczęścia... Była taka chwila, kiedy Wirlena niemal wyznała swojemu mężowi grzech popełniony dla jego ratowania - ale jakby coś ją powstrzymało, i nie przyznała się.

I nadeszła pierwsza ich noc, i dusza Wirleny śpiewała w przeczuciu szczęścia, i nawet strach, że Kirjaszik ją zdemaskuje, nie przeszkadzał w tym przeczuciu rozkoszy. I oto młodzi zostali sami.

Delikatnymi prześcieradłami zasłane było szerokie łóże, spokojnie płonęła świeca, ale Kirjaszik, zawstydzony, pośpiesznie ją zgasił. W całkowitych ciemnościach Wirlena objęła go za szyję i poczuła, jak nierówno tłucze się w piersi zalęknione jego serce.

Otoczyła go swą czułością - całą zgromadzoną, ogromną miłością i łagodnością, a on chyba aż się przestraszył. Wilgotne jego wargi niezręcznie dotykały jej twarzy, dłonie pokrył pot, i palce nijak nie mogły poradzić sobie z rozpięciem własnych spodni.

- Wirleno... - szeptał - kocham cię... Ja... wiesz... kocham cię...

A ona uśmiechała się w ciemnościach i obejmowała go coraz mocniej.

Rano zobaczyła jego twarz - Kirjasz spał na boku, podłożywszy dłonie pod pulchne, różowe policzki. Długo, bardzo długo Wirlena bała się poruszyć, żeby go nie obudzić. W całej wsi wydzierały się już koguty i trzaskały furtki - ludzie zabierali się do codziennych obowiązków. Wirlena leżała i myślała, że oto jest żoną ukochanego, że Kirjaszik jest taki młody, taki czuły i taki niewinny, i że, na szczęście, nic z tego nie zrozumiał... Leżała i marzyła o dzieciach, o długim szczęśliwym życiu - a jednocześnie w jej duszy rodziło się poczucie utraty.

- Co to za cień pojawił się tego pierwszego, jasnego poranka? Co straciła Wirlena, zyskawszy, w końcu, ukochanego?

Ale Kirjaszik nagle poruszył się, więc - odegnawszy niepokój precz - Wirlena pocałowała go czule w rumiany policzek...

... I zaczęły płynąć dni, i kochali się, i pracowali ciężko, niemal już gotowy był dla nich dom, w którym mieli prowadzić swoje gospodarstwo i żyć długo i szczęśliwie.

Co noc Kirjaszik zamykał swą żonę w objęciach, i pełne zachwyty, pośpieszne jego pieszczoty wywoływały w niej niemal macierzyńską czułość - i tylko tyle. Co rano Wirlena uśmiechała się do męża - a poczucie straty powiększało się, niczym dół pod łopatą grabarza, a było to uczucie zimne jak mogilna ziemia, i pozbawione nadziei jak jesienna ulewa. A Kirjaszik niczego nie zauważał - zbytnio był naiwny, zbytnio beztroski jako mąż, zbyt ślepo kochał swą młodą żonę...

Świekra suszyła zioła na zimę. Pewnego razu, pomagając wiązać je w pęczki i rozwieszać po kątach, Wirlena poczuła nagle znajomy, cierpki i gorzki aromat.

„Co ci jest?“, zapytała świekra.

Wirlena milczała, oparłszy się o ścianę, sama jak ściana biała - dopiero teraz zrozumiała, jakie to uczucie kąsa jej duszę.

Długo, długo zastanawiała się, i wiele bezsennych nocy spędziła u boku sapiącego Kirjaszika. Już i rodzina zaczęła się niepokoić - policzki jej zapadły, ramiona zgarbiły się, schudła - czy aby nie chora?

A kiedy spadł pierwszy głęboki śnieg, Wirlena nagle uświadomiła sobie, że w jej duszy zupełnie nie ma już radości - tylko jedna wielka strata, jeden szarpiący ból i żal za bezpowrotnie straconym.

I oto w mętny, śnieżny zimowy poranek Wirlena wstała cicho z łóża i wyruszyła... za jezioro, tam, gdzie na skraju lasu mieszkał czarodziej.

Nie widzieli się przez pół roku, przez pół roku Wirlena usiłowała wszystko zapomnieć. Teraz nieużywana ścieżka zasypana była śniegiem, Wirlena grzęzła w nim po kolana, a wiatr chłostał ją po twarzy.

Czarodziej był w domu - odgarniał łopatą śnieg z ganku.

- Ho-ho!.. - powiedział, odwróciwszy się. - Co za rzadki gość nas odwiedził... Nie jesteś mi potrzebna, zatem ja potrzebny jestem tobie?

Wirlena stanęła przed nim na poły żywa, na poły martwa. Śnieg przyprószył jego czarne splątane włosy, i tak samo duży był haczykowaty nos, i tak samo płonęły oczy jak węgle. Wirlenie wydawało się, że w mroźnym powietrzu zapachniały zioła.

- Przyszłam - powiedziała - bo nie mogę dłużej żyć bez ciebie. Weź mnie, albo zabij.

Smutno uśmiechnął się czarodziej:

- Czyż nie otrzymałaś swego szczęścia? Czy twój mąż, którego wyzwoliłem, nie kocha cię nad życie? Czy ty sama nie byłaś gotowa umrzeć, byle do ciebie wrócił?

- Tak - odpowiedziała Wirlena. - Wszystko to prawda. Ale smutne i gorzkie jest moje życie na tym świecie, szare, puste i nie będzie więcej dla mnie lata - tylko same zimy i jesienie. Płaczę, myśląc o biednym Kirjasziku - ale kocham go tylko jak matka, a nie jak żona. Nie sądzono nam być szczęśliwymi. Błagam, weź mnie do siebie.

Znowu uśmiechnął się czarodziej, i jeszcze smutniej:

- Czy nie widzisz, że jestem straszny i brzydki, a twój mąż - młody i urodziwy?

- Tak - powiedziała Wirlena - ale on nie może stać się tak silnym... i takim czułym, takim delikatnym... i takim bezlitosnym!

Milczał czarodziej, jeszcze głębiej zapadły się jego płonące oczy. Śnieg padał i padał, i coraz głębiej zapadała się weń Wirlena.

- Cóż - powiedział czarodziej w końcu. - Przejrzałaś, ale za późno. Odeszłaś ode mnie o świcie, a ja wszak nie wypędziałem cię... Zwróciłem ci Kirjaszika, jak chciałaś. Teraz chcesz czegoś przeciwnego; kto wie, co ci przyjdzie do głowy jutro? Nie, odejdz. Nie jesteś mi potrzebna!

I powrócił do odgarniania śniegu. Wirlena zawróciła.

Opadł śnieg, wyszło słońce, jasny wstał nowy dzień. Oto i droga; trzygłowa osika stała naga i cicho skrzypiały na mrozie jej gałęzie.

...Na własnych warkoczach.

Świtało. Na miejscu ogniska widniała kupka węgla i popiołu.

- To ci historia - mruknął młodzieniec. - Jakbyś sam tam był i wszystko widział...

Posiadacz fajki uśmiechnął się, jak często to czynił. Myśliwy z siwymi wąsami stęknął, zmieszany wyprostował zeszywniałe ramiona:

- Taak.. Ot i masz...

Była to ta godzina, kiedy noc już uciekła, a dzień jeszcze nie zapanował nad światem.

- To ci historia... - powtórzył młodzien. - Ale która z tych Opowieści...

- To znaczy, chcę zapytać - jak to było naprawdę?

Przełożył EuGeniusz Dębski